

Ach, tamte elity!

Chcieli sobie wszczepiać małpie gruczoły i pili na umór, ale przede wszystkim byli wielkimi artystami – najsmaczniejsze anegdoty o elitach II RP opowiada historyk **SŁAWOMIR KOPER**

ROZMAWIA **MAREK ZAJĄC**

Zamordował pan moje niewinne, wywodzące się jeszcze z pensjonarskich czasów wyobrażenie o Bolesławie Leśmianie.

– Przyznam, że mnie też zaskoczyło w jego życiorysie kilka rzeczy.

Strasznie świntuszył!

– Ależ co pan opowiada, pisał najwspanialszą poezję miłosną!

Ale ja nie mówię o wierszach i malinowym chruśniaku, tylko o fragmencie jego listu do kochanki Dory Lebenthal, który przeczytałem w pana książce: „Zlizuję brudzik z Twoich nówek i z kędzierzawki mięciuchnej, ślinię Twoje usteczka i piersiczki, wącham i liżę Twoją pupuchną i czekam na list”.

– A ja żałuję, że tych listów zachowało się tylko kilka. To była piękna miłość. A moje zaskoczenie wzięło się stąd, że w ogólniaku, kiedy zaczytywałem się w jego erotykach, wyobrażałem sobie Leśmiana jako przystojnego mężczyznę. A przecież był niepozorny. Franz Fiszer tak skomentował jego wygląd: „Przyjechała pusta dorozka i wysiadł z niej Leśmian”. Do frustracji doprowadzało poetę, że wcześniej wyłysiał. Bez przerwy stosował różne terapie, maści i drakwie. Chciał też sobie zafundować oryginalną terapię odmładzającą, czyli wszczepić małpie gruczoły. Ale i tak wiedział, że jednego nie zmieni: miał zaledwie 1,55 metra wzrostu...

Mizerne gabaryty nie przeszkodziły jednak Leśmianowi podczas spaceru, gdy mijał wysoką, dobrze zbudowaną kobietę, wypalił do przyjaciela: „Ja bym ją zgwałcił!”.

– Tu zasadniczo różnił się od Boya, który za wysokimi białogłowami nie przepadał. Gdy zwrócono mu raz uwagę na taką kobietę, machnął tylko ręką: „Panie, na nią to z czekanami, z linami, w kilku”. Trzeba jednak przyznać, że Leśmianowi kobiety były bardzo oddane. Żona Zofia pozostała przy nim do końca,

choć wiedziała, że przez lata żył z Celiną Sunderland, potem z Celiną i Dorą równocześnie, a następnie już z samą tylko Dorą. Gdy w 1929 roku okazało się, że zamojski notariusz Bolesław Lesman (jako prawnik używał swojego prawdziwego nazwiska) nie dość sumiennie zajmował się swoim urzędem, ale głównie sztuką i kobietami, przez co jego zastępca zdołał zdefraudować kilkadziesiąt tysięcy złotych, z pomocą przyszła mu właśnie Dora. Sprzedała swoje luksusowe mieszkanie z cennymi meblami i obrazami, by poeta spłacił choćby część należności.

Trudno więc się dziwić, że Zofia pytała umierającego Leśmiana, czy ma posłać po kochankę. Jego kuzyn Jan Brzechwa wspominał: „W przeddzień pogrzebu zesłaliśmy się przed zalutowaniem trumny w kościele Świętego Aleksandra. Bolesław leżał w niej drobny jak woskowa lalka. Z kącików ust sączyła się żółtawa ciecz. I wtedy nastąpiła scena godna Leśmianowskiej ballady. Dora padła przy trumnie na kolana i przyłgnęła ustami do ust zmarłego”. A na pogrzebie usiadła obok trumny, podczas gdy żona z córkami szły z tyłu.

Ówczesne tabloidy rozpisywały się o takich sprawach?

– Prasa bulwarowa żyła głównie sensacjami kryminalnymi. O środowiskach artystycznych pisano niewiele. Jeżeli już, to o takich aferach jak wtedy, gdy w 1927 roku malarzka Zofia Stryjeńska została przez męża Karola siłą umieszczona w zakładzie psychiatrycznym. To był toksyczny związek, zazdrosna – skądinąd słusznie – Zofia cały czas urzędowała mężowi awantury, raz rzuciła w niego lampą naftową. W ogóle była dość ekscentryczna. Podczas jednego z obiadów, gdy gospodyni chwaliła się miśnieńską porcelaną, Stryjeńska obróciła talerz pełen zupy, spojrzęła na spód i orzekła: „Faktycz-



Sławomir Koper „Życie prywatne elit artystycznych drugiej Rzeczypospolitej”, wydawnictwo Bellona, Warszawa 2010, s. 488, 39 zł



FOT. NAC (3)

Bal na sto par na warszawskiej ASP w 1936 roku i „domówka” u reżysera Ryszarda Ordyńskiego. Wyteż wzrok i znajdź: Mirę Zimińską, Jana Lechonia, Juliana Tuwima, Kazimierza Wierzyńskiego i Tadeusza Boya-Żeleńskiego



nie”. Wileńskie „Słowo” opisywało, jak jakaś nieumyta tęga kobieta goni po Krupówkach mężczyznę, który ucieka „jak tubylec przed krokodylem”. Kobieta wymachuje nad głową nieszczęśliwego parasolką czy wielkim pędzlem, ale nikt nie reaguje, bo przecież wszyscy wiedzą, że u Stryjeńskich już tak bywa. I słusznie, bo na pewno nie były to powody, by wybitną malarzkę zamykać w psychuszcze. Na łamach ówczesnych gazet nie znajdziemy natomiast relacji, że pijany aktor nago biegał po ulicy.

Dwudziestolecie nie miało swojej Dody?

– Nie. Z całym szacunkiem dla Dody to jednak były czasy, kiedy trzeba było mieć trochę smaku, żeby zrobić karierę. Naturalnie można było osiągnąć sukces, lansując się na gwiazdę metodami niemal identycznymi jak w erze MTV. Najlepszym przykładem jest Jan Kiepura, mistrz autokreacji. Gdy jako starytysta czekał w kolejce po swą skromną gażę, oświadczył kolegom, że kiedyś za występ będzie zgarniał tysiące. I wiedział, co mówi. Popularność umiał nakręcać, śpiewając na balkonach i dachach samochodów. Ale miał przy tym świetny głos. Na samym kreowaniu wizerunku i prowokacji nikt w międzywojniu daleko by nie zajechał.

Ale nie zaprzeczy pan, że nawet nasi wybitni poeci – skamandryci – potrafili celowo wywoływać skandal, żeby zyskać rozgłos.

– To prawda. Kiedy w Teatrze Polskim zapowiedziano premierę „Pani chorążyny”, kiczu pióra Stefana Krzywoszewskiego, autorzy i przyjaciele kabaretu literackiego Pod Pika-dorem w najdrobniejszych szczegółach opracowali plan prowokacji. W tylnych rzędach parteru zasiedli Słonimski i Iwaszkiewicz, z przodu zadekował się Lechoń. Mieczysława Grydzewskiego wysłano na balkon z plikiem ulotek, a galerię zajęli zaprzyjaźnieni malarze. Każdy banalny dialog przerywano burzą obłudnych braw, a gdy po drugim akcie zapadła kurtyna, na scenę wskoczył Lechoń. Wręczył aktorce grającej główną rolę bukiet róż, pocałował ją w rękę, a potem wygłosił mowę protestacyjną. Jednocześnie widownię zasypały ulotki. Prowodyrów zatrzymano i odprowadzono do komisariatu, ale policja okazała się na poziomie i ze zrozumieniem przyjęła wyjaśnienia, że pikadorczycy jedynie bronili obrażanych i zadrażnianych szmirą widzów. I przyzna pan, że choć cała awantura miała przysłużyć się popularności tych, którzy weszli potem do historii literatury jako skamandryci, to wszystko odbyło się z wielką klasą.

Prowokacja nie polegała wtedy na pokazywaniu majątek. Czyli wniosek jest smutny: wszystko spsialo...

– Nie byłbym aż tak ostry w sądach. Nie przesadzajmy z idealizowaniem międzywojnia. Artyści musieli coś jeść i płacić rachunki, czyli iść na kompromisy, żeby zarabiać pieniądze. W dwudziestolecie w pisania żyli chyba tylko Julian Tuwim, Antoni Słonimski i Tadeusz Dołęga-Mostowicz. A trzeba przy tym pamiętać, że Tuwim nie utrzymywał się wcale z wierszy, ale z tekstów kabaretowych, piosenek i szmoncesów, których trochę się wstydzili, bo opatrywał je pseudonimem.

A kto regularnie nie zarabiał, musiał żyć jak niebieski ptak, czyli z łaski innych?

– Spośród skamandrytów takim niebieskim ptakiem początkowo był tylko Lechoń, który często korzystał z pieniędzy Słonimskiego. Ale kiedyś się pokłócili i jednocześnie odwiedzając słynną kawiarnię Ziemiańska, nawet nie zaszczycali się spojrzeniem i siadali przy osobnych stolikach. Gdy jednak Słonimski prosił o rachunek, kelner przynosił karteczkę od Lechonia: dwie kawy, cztery ciastka, numer „Tygodnika Ilustrowanego”, razem złotych cztery. Słonimski płacił, wtedy Lechoń lekko kiwał głową, ale nadal ze sobą nie rozmawia-

li. To był oczywiście zgryw; na serio zerwali kontakty, gdy po wojnie Słonimski zdecydował się wrócić do Polski. Ostatecznie jednak, jak na przyjaciół przystało, leżą blisko siebie na cmentarzu w Laskach.

Skamandryci nie byli grupą pięciu idealnie zgranych muszkieterów?

– Powtórzę to, co napisałem w książce: tylko w duecie przyjaźń ma szansę przetrwać. Przy trzech osobach już jest tak, że tylko dwie łączą ściślejsza więź, a co dopiero przy pięciu indywidualnościach. Słonimski trzymał z Lechoniem, a Tuwim z Wierzyńskim. W Iwaszkiewiczach reszta skamandrytów widziała prowincjusza, bo pochodził z naprawdę dalekich Kresów, z okolic Kijowa. Miał też najgorszą sytuację materialną, przed przyjazdem do Warszawy utrzymywał się z guwernerki, a jego małżeństwo z jedynaczką Anną, córką przemysłowca Lilpopa, wywołało niemałą sensację. Twierdzono, że usiłował bogato się ożenić. I chyba słusznie, bo w pisanych przed śmiercią wspomnieniach, być może nieprzeznaczonych do publikacji przed ich złagodzeniem i oszlifowaniem, ostro, aż niesmacznie przejechał po rodzinie żony, oskarżając większość krewnych o skąpstwo albo głupotę.

Największe spośród skamandrytów emocje budził jednak Lechoń. Doceniano jego talent, poczucie humoru, ale właściwie poza Słonimskim nikt go nie lubił. Może był zbyt złośliwy dla innych? Poza tym był strasznym snobem. Na ulicy gotów był porzucić towarzystwo przyjaciela, bo akurat zauważył kogoś lepiej urodzonego. Długo nie potrafił też zaakceptować swojego homoseksualizmu. Kiedyś próbował się zabić, lykając sporą dawkę wero-nalu. Po płukaniu żołądka budzi się w szpitalu, przy łóżku siedzi Słonimski. „Gdzie ja jestem?” – pyta Lechoń. Słonimski odpowiada, że w klinice, na co niedoszły samobójca rozgląda się po sali i mówi z przekąsem: →

→ „Ładna mi klinika. Roch”. Cóż, szpital świętego Rocha był dla niego zbyt marnym przybytkiem na powrót do świata żywych.

Teraz też ekscytujemy się hetero- i homoseksualnymi romansami artystów różnego kalibru, ale w tych historiach rzadko zdarza się to, czego nie brakowało w międzywojniu: samobójstw z miłości. Desperacja była w modzie?

– To jeszcze pokłósie Młodej Polski. To przecież najczystsza Przybyszewszczyzna, w jaki sposób samobójstwo popełniła narzeczona Witkacego. Jadwigę Janczewską, uzdolnioną plastycznie, egzaltowaną i chorą na gruźlicę, czyli idealnie wpasowującą się w młodopolski schemat, zauroczył przybyły do Zakopanego znany już kompozytor Karol Szymanowski. Witkacy szalał z zazdrości, na kilka dni zniknął w górach. Jadwiga pojechała do Kościeliska, położyła pod skałą Pisaną bukiet kwiatów i się zastrzeliła. Witkacy wpadł w depresję, chciał się zabić, a Szymanowski przez osiem lat nie pojawił się w Tatrach. Jak czyta się u Boya opisy, co działo się w kręgu Przybyszewskiego i jego żony Dagny, to takie wypadki nie mogą dziwić.

Na szczęście Boy, gdy sam zakochał się w Dagny i doznał zawodu, zamiast się zastrzelić, postanowił się zapić.

– Pijany leżał kilka godzin na Plantach. Był siarczyasty mróz i dostał ciężkiego zapalenia płuc, które skutecznie wybiło mu z głowy egzaltowane szaleństwa i przyhamowało jego skłonności do alkoholu. Ale kochliwy pozostał.

I wielce tolerancyjny. Witkacego na przykład wprawdzie nie lubił, ale wcale nie z tego powodu, że miał romans z jego żoną.

– O nie, to Boya obeszło chyba najmniej. Pozwolił nawet kwitnąć tym miłostkom pod własnym dachem. Powiedział zresztą jedno z najmądrzejszych zdań o Witkacym: „Trzeba go brać, tak jak jest, ze wszystkimi dziecinnostkami i zboczeniami”. A Witkacy powtarzał, że wśród typów małżeńskich jest też małżeństwo à la Boyowie. Sam miał wyrozumiałą żonę, którą w listach informował, że był na „zjazdowej orgii u Szumana”. Tam się upił i rzygał w wannie na powierzchnię wody, z tego zaś powodu zrobiła się sytuacja „mocno skomplikowana”.

Któryś z artystów nie pił?

– Choćby Eugeniusz Bodo. Za to jego pasją było wyszywanie makatek z koralikami, którymi obdarowywał przyjaciół. Do lokali chodził z dogiem Sambo, który gryzł tylko przyjaciół. **To mnie nie szokuje, bo w III RP marszałek Dorn przychodził ze swoim psem Sabą do Sejmu.**

A skoro o politykach mowa, czy w dwudziestoleciu artyści chcieli dobrze żyć z władzą?

– A czy kiedyś artyści nie chcieli dobrze żyć z władzą? Kiedy nie chcieli być wydawani, doceniani, obsypywani nagrodami? Kiedy nie lubili pojawiać się na rautach i uroczystościach państwowych? Tuwim miał zawsze, nie tylko w czasach PRL, bardzo serwilistyczny stosunek do władzy. Zdarzyło mu się popełnić jednoaktówkę o tym, jak między innymi Kopernik, Zygmunt III Waza i Mickiewicz schodzą z pomników, żeby w Belwedrze złożyć hołd Piłsudskiemu. Nawet Wieniawa był zażenowany i nic dziwnego, że sztuka szybko spadła z afisza. W tamtych czasach w ogóle sno-

” Pasją Eugeniusza Bodo było wyszywanie makatek z koralikami, którymi obdarowywał przyjaciół

SLAWOMIR KOPER

bowano się na Marszałka, a ten miał poczucie humoru i zapraszał do siebie do Belwederu słynną skamandrycką szopkę. Kiedy przysłał po Tuwima limuzynę, ten – wsiadając do samochodu – westchnął: „Ach, gdyby tak jeszcze przejechać kogoś znajomego...”.

Byli jednak twórcy niepokorni, jak Mostowicz.

– To był początkowo doskonały dziennikarz, już na łamach prasy prezentował styl i ogład rzeczywistości znany potem z „Kariery Nikodema Dyzmy”. Ale piłsudczycy nie przebierali w środkach. Na ogół próbowali krytycznych wobec władzy żurnalistów zastraszyć, ale Mostowicza chyba chcieli wyeliminować. Do nieprzytomności pobiło go trzech ludzi w mundurach, potem wrzucili go do glińnianki pod Łomiankami. Nad ranem Mostowicz się ocknął, wołał o pomoc. Krzyk usłyszał przejeżdżający rolnik, który dosłownie w ostatnim momencie uratował dziennikarza przed utonięciem w mule. Mostowicz odszedł od dziennikarstwa i zajął się literaturą. Mówiono, że był pisarzem dla pokojówek i kucharek – to prawda, ale inteligencja też się nim zaczytywała. Miał trzeźwe spojrzenie na swe piarstwo. Podkreślał, że nie pisze książek, tylko zarabia pieniądze. Spore zyski czerpał też ze scenariuszy filmowych, dostawał zamówienia nawet z Hollywood. Jego dochód szacowano na 15 tysięcy złotych miesięcznie, podczas gdy pensja najwyższych urzędników państwowych sięgała 3 tysięcy. Na niższych

szczeblach zarabiano po 300 złotych, a Walery Sławek (trzykrotny premier) pobierał 220 złotych emerytury. Mostowicz był więc obiektem zazdrości wszystkich literatów, sam powtarzał: „Wolę buicka zamiast pomnika”. Tym buickiem rozbijał się po Warszawie, wynajmował sześciopokojowe mieszkanie w Alejach Ujazdowskich i tłumaczył, że kiedyś – jak już zarobi wystarczająco dużo – zacznie pisać poważne książki. Chciał stworzyć trylogię o Chrobrym, Śmiałym i Krzywoustym. Powstał tylko pierwszy tom, ale zaginął. Szkoda. Chętnie bym przeczytał, co Mostowicz uważał za prawdziwą literaturę.

Mówiąc o związkach artystów z władzą, warto podkreślić, że w międzywojniu panowała niezwykła symbioza tych środowisk. W Qui Pro Quo bywał nie tylko Wieniawa, ale też Beck. Elita polityczna i wojskowa to byli ludzie doskonale wykształceni, przez Legiony przewinęło się wielu malarzy i pisarzy, by wspomnieć tylko Kadena-Bandrowskiego. Nawet uważany za wesołego zupaka Sławoj Składkowski pozostawił zadziwiającą prozę pamiętnikarską, czyli „Strzępy meldunków”.

Nie pozostaje nic innego, jak tylko powtórzyć

moje ceterum censeo: wszystko więc spisało...

– A ja jeszcze raz sugeruję, by unikać tonów dramatycznych. Ówczesne elity artystyczne były znacznie węższe niż obecne. Zwróćmy uwagę na telewizyjne show z udziałem naszych celebrytów – uważam się za człowieka naprawdę nie wiem, z kim mam do czynienia. Bo obok nielicznych gwiazd egzystuje masa gwiazdek, gwiazdeczek, celebrytów. Skąd to się bierze? Kiedyś była tylko prasa o ograniczonym zasięgu, kino, które w II RP uchodziło zresztą za rozrywkę poślednią, teatr i kabarety, rozwijające się dopiero radio – i to właściwie wszystko. A dziś mamy wszechpotężne radio, telewizję i Internet, stąd dużo większa możliwość kreowania karier. Ale kto o 90 procentach z tych ludzi będzie pamiętał za 20 lat? Tymczasem międzywojnie było eksplozją talentów z najwyższej półki – w poezji i prozie, malarstwie, muzyce, literackim kabarecie. To była sztuka i rozrywka tworzona przez elity dla elit. Ten, kto siedział w warszawskim kabarecie i chciał wiedzieć, z czego się śmieje, musiał znać najnowszy tomik Wierzyńskiego, orientować się w plotkach z Belwederu czy Zamku Królewskiego, no i wiedzieć, co niedawno nabroił Wieniawa. A teraz w święta włączymy telewizor i obejrzymy kolejny wieczór kabaretowy zrozumiały dla każdego – od robotnika do profesora. Takie po prostu mamy czasy. ●